ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Września 1892. Nr. 17.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Po chwili księżna dodała:

Opactwu Waszemu, które książę małżonek mój weźmie w opiekę swoję, jeśli mu sprzyjać i modlić się zań będziecie, nada większe ziemie i dochody, niż te, któreście od Petrka dostali.

— Modlimy się za wszystkich, — odparł Opat schylając głowę, — a o łaskę Miłości Waszej starać się pragniemy. Do spraw ziemskich mięszać się nam nie wolno, jesteśmy biedni i słabi zakonnicy.

Na tę rozmowę nadszedł książę, który się dosyć chłodno z Opatem przywitał. Widać było, że troskę niósł na sobie wielką.

Małżonka wciągnęła go w walkę tę, której czuł, że nie podoła, na sercu mu ciężyła, chmurą stała na czole. Nie mógł już o niczem mówić, tylko o tem. Jak wszyscy słabi ludzie, Władysław gdy mu na piersi spadło brzemię, dręczył się nieustannie myślą jedną, o niej tylko prawiąc ciągle, nawet tym, co go zrozumieć nie mogli i wiedzieć o sprawie nie byli powinni.

Zaledwie stanąwszy przed Opatem, rozpoczął natychmiast jakby opanowany troską.

— Księże Opacie, ja tu sam panem być muszę, tak... opór próżny, com rzekł raz, to uczynię.

Opat zdumiony jeszcze się nie zebrał na odpowiedź, gdy książę pod ciężarem myśli swej, dalej ciągnął.

— Nie cofnę się, nie odmienię postanowienia, albo się poddadzą lub z kraju muszą iść precz. Tak, tak!

Mnich patrzał nań milczący... Władysław dodał jeszcze.

— Ja wiem! wy wszyscy przeciwko mnie jesteście, jawnie lub potajemnie. Wiem o tem dobrze. Biskupi wszyscy, Pasterz nasz Gnieźnieński, duchowni i wy mnisi, zbieracie się, naradzacie, knujecie, to nic nie pomoże. Ziemię zwojuję, splądruję, zniszczę i poddać się muszą wszyscy, wszyscy! Tak zniszczę, spalę! — powtórzył groźno.

— A nad czemże panować będziecie, miłościwy książę? — zapytał Opat spokojnie.

— Ludzie się zawsze znajdą — rzekł książę. — Chcecieli trzymać się tu i mieć dobrze, ze mną iść i przy mnie stać musicie.

— My, miłościwy panie, — odezwał się Opat tymże głosem chłodnym — my przy Bogu i ołtarzu stoimy. To sprawa nasza. Panu, jakiego Bóg nam da, wierni jesteśmy, ktoby on kolwiek był. Modlimy się nawet za nieprzyjacioły kościoła i nasze.

— O! ja wiem, wy, wy chytrzy bardzo jesteście, — odparł książę groźno, — chytrzy jesteście i przewrotni, wy i Biskupi wasi, jako baranki się odziewacie, a wilcze kły macie w paszczękach.

Księżna, zdumiona tą mową nazbyt otwartą, popatrzała na księcia, który się przeszedł kilkakroć po izbie zadumany.

Wstrzymać jego wynurzania się nie można było, mówił jakby z samym sobą.

— Za młodszymi braćmi wszyscy ciągną, nie chcą znać głowy, a ja tu głową jestem. Poślę o to do Papieża, aby duchowieństwu posłuszeństwo nakazał dla mnie. Słuszna rzecz, aby jak jeden Papież jest nad całem chrześciaństwem, jeden cesarz nad państwem swem, tak i nad temi ziemiami naszemi jeden król panował.

Opat słuchał milczący, ani przecząc ni potwierdzając.

Wtem książę przybliżył się do niego natarczywie.

— A coście zrobili z Petrkiem? — odezwał się.

— My, nic, bośmy go od nieszczęsnej godziny, gdy pochwycony został, aż dotąd nie widzieli — rzekł Opat.

— Dlaczegoż godzinę sprawiedliwości nazywacie nieszczęsną? — pytał książę.

— Bo to była godzina zemsty, a nie sądu, miłościwy panie — odpowiedział Opat śmiało.

— Daliście mu przytułek? — zagadnął książę.

— Gdyby go był od nas żądał, dalibyśmy pewnie — rzekł O. Anzelm, — ale się o to do nas nie zgłosił.

Księżna stojąca przy mężu wtrąciła:

— Już się go nie boimy wcale. Oczy mu wyłupano i paskudny język urznięto, niech się wlecze żebrać i pokutuje za grzechy! Niech ludzie patrzą na sprawiedliwość naszą i widzą, ze nie przebaczamy zdrady. Toż samo i drugich spotka!

Opat odpowiadał tak skąpo i niechętnie, iż się w nim łatwo było domyślać nie bardzo życzliwego słuchacza. Podniósł się wkrótce, obracając do księżnej Agnieszki, z pytaniem, czyby mu co do rozkazania nie miała i po co był wzywany?

Agnieszka zmięszana milczała trochę i rzekła dumnie:

— Chciałam wam kilka grzywien kazać dać na ofiarę do ołtarza i relikwii świętych, abyście się za powodzenie oręża pana małżonka mojego modlili.

Skłonił się Opat.

— Modlić się będziemy — odparł krótko. Pożegnał się już i odchodził, gdy Władysław, przeprowadzający go do progu, mruczał ciągle.

— Nie chcę niczyjej zguby, ale wymagam posłuszeństwa. Nie ulegnę, na swem postawię, a duchownych do Rzymu skarżyć będę... do Rzymu!

Po wyjściu Opata, obrócił się do żony i na drzwi wskazując, rzekł:

— Chytrzy są! Opat się łasi! Znam go! Ho! ho! Chytrzy są bardzo, ale nie oszukają. Ja wszystko wiem!

XI.

U biskupa Petrek długo pozostawać nie mógł, więc wyprawiono go do młodych książąt. Jaksa go prowadził.

W drodze wierny ten towarzysz niedoli dla ojca i syna stał się jakby dzieckiem i bratem. Los ich zrównał, Jaksa teraz był dla nich dobroczyńcą i podporą. Przedzierając się przez puszcze w obawie, aby ich nie poznano i nie pochwycono, błąkali się długo, omijając gościńce wielkie, i nierychło w Płocku stanęli. Tu Jaksa mógł go już zdać książętom młodym w opiekę, bezpiecznym będąc o niego. Ale wnet niepokój go ogarnął o Petrkowę i Błogosławę, o których losie nie wiedziano. Sam Pa-

latyn codzień, co godzina niemal miał imiona ich na ustach.

Jednego dnia sam Jaksa odezwał się, słysząc bolejącego Petrka.

— Pozwólcież mi, ruszę za jej miłością i za dzieckiem waszem, ażeby się choć dowiedzieć, co się z niemi stało. Pewien jestem, że wam o nich dobre przyniosę wieści.

Petrek, który teraz, dla skaleczonego języka, mowę miał bełkoczącą i mało jej używał, na ramiona mu się rzucił z radości.

— Tyś dziecko moje, drugim mi jesteś synem, — zawołał. — Radbym, abyś to uczynił, i lękam się o ciebie, chcę, byś jechał, i boję się. Czyń, jak sam osądzisz, jedź, ratuj ich. Bóg ci zapłaci i ja nie zapomnę. Odetchnę lżej, gdy się dowiem, co się z niemi dzieje.

Jaksa natychmiast usposobił się do podróży, a gdy żegnać się przyszło, Petrek go z uścisku długo nie puszczał. Żal mu go było, bo się do niego przyzwyczaił, pokochał i dla Światosława też miał w nim najlepszego towarzysza... Więc się żegnali, a rozstać się mogli, a gdy już jechał, patrzali nań u wrót długo, dając znaki.

Na dworze młodych książąt, miał tę pociechę okaleczony, który dla nich cierpiał, że go tu szanowano jak ojca, a opiekowano się nim troskliwie. Młodzi książęta go nie odstępowali, starsi doń przychodzili po radę, obie księżne czuwały nad starcem, by mu na niczem nie zbywało. Petrek, jeżeli dawniej nie potrzebował wiele dla siebie i żył po prostu, teraz, gdy go dotknęło to, co za karę Boga domierzoną uważał, za pokutnika się mając, surowszy jeszcze żywot prowadził.

Znaczną część dnia spędzał w kościele, do którego z oczyma chustą zawiązanemi szedł przez syna wiedziony, surowe odprawiał posty, a powtarzał, że łaskę Bóg uczynił mu wielką, zasłużoną karą na tym go dotknąwszy świecie.

Los Palatyna zgrozą przejął wszystkich i przyczynił się głównie do tego, że duchowni wszyscy za młodymi książęty przeciwko księciu Władysławowi głośno się oświadczyli.

Arcybiskup sam zbierał ludzi, aby z nimi iść w pomoc uciśnionym.

Wojska z obu stron ściągały się ku Pilicy, gdy Jaksa z Płocka wyruszył, zkąd młodsi książęta i księżne dwie w obawie, aby ich tu Władysław nie pochwycił, do warowniejszego ciągnąć mieli Poznania. Bliżej też tu byli Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, na którego pomoc duchowną i orężną rachowali.

Jaksa spieszył, jak zawsze przedzierając się na oślep lasami, a bacząc tylko, aby się w ręce nieprzyjaciela nie dostać. Dobił się tak naprzód szczęśliwie do Wrocławia, gdzie się języka dostać spodziewał. Lecz tu trafiło się właśnie, że i Biskupa nie znalazł i Opata nie było, a inni lub nie wiedzieli, albo mu o schronieniu Petrkowej mówić się nie ważyli. Czekać nie chciał, a spuszczając się na własną przebiegłość, gdy pochwycił ślad, którędy Petrkowę wiedziono, ruszył przepytując, dowiadując się, idąc szlakami, jakie mu ludzie wskazywali. Zadziwiony był w ostatku mocno, gdy go przepytywanie to wprost na jego własny Komorów wywiodło. Nie wierzył jednak jeszcze, żeby się to w istocie stać mogło, czego najmocniej pragnął. Na mil kilka od zamku rodzinnego ślady niewiast znikły zupełnie. Jaksa zniechęcony i znużony, widząc się już tak blizko matki, nie mógł się wstrzymać, aby nie dojechać do niej. Potrzeba też była wielka i gród ubezpieczyć w te czasy niespokojne i ludzi swych pościągać, aby z nimi potem w pomoc iść młodym książętom.

Na grodzie stara matka, choć wzdychała za nim, nie śmiała się syna spodziewać, gdy jednego wieczora u wrót Jaksa zatrąbił po swojemu, i po głosie natychmiast go wszyscy poznali. Rzuciło się co żyło naprzeciw niemu, a najpierwsza matka, zapomniawszy o wszystkiem, byle go coprędzej uścisnąć.

Mrok już padał, Jaksa znużony był, zdziwił się, gdy matka, zamiast go wprowadzić do świetlicy, którą on dawniej zajmował, powiodła go do siebie. Chciał

do zwykłego kąta swojego zawrócić, ale rzekła mu zakłopotana nieco, aby tam nie szedł, bo gości ma.

— A jacyż oni są? — zapytał Jaksa.

— Niewiasty dwie biedne uciekające przyjąć musiałam — odparła matka.

Tknęło to Jaksę, że mu imienia ich nie powiedziała.

— Niewiasty? a zkądże one przybyły?

Stara smutnie zmierzyła go oczyma, jakaś zazdrość obudziła się w jej sercu.

— Co ci tam do obcych niewiast! — zawołała chmurno.

Młodemu już się roić zaczynało, że Petrkowa być tu mogła, ta myśl jak ukropem go oblała. Stanął drżący cały.

— Darujcie mi, kochana matko moja, — rzekł, — życie moje stawiłem ratując Petrka, odprowadziłem go okaleczonego do Płocka, a teraz gonię za żoną jego i córką, abym go o ich losie uwiadomił. One to u was być muszą, nie kto inny!

Rozgniewała się stara i poruszyła groźno.

— To są! są! — odparła — ale tobie dziś nie o nich myśleć, tylko o matce, bo ta ci pierwszą być powinna.

Jaksa zamilkł i poszedł za nią zmieniony zupełnie, pokorny, ale milczący. Matka nie wytrzymała długo, sama rozpoczęła rozmowę o niewiastach i żaliła się.

— Tak, — rzekła — przywieźli mi je tu, te pieszczone kukiełki, na które zdala chuchać trzeba. Nieszczęśliwemu dachu odmówić się nie godzi, a baby te ciężą mi. Dziewczyna piękna a wątła i słaba, tylko mi nie patrz na nią.

— Matusiu serdeczna, — przerwał Jaksa — późna twa rada, widziałem ja ją nie raz, ale sto razy, a co się ze mną stać miało, to się stało. Miłuję ją bardzo, miłuję strasznie, teraz, gdy Petrek wygnańcem jest, spodziewam się ją dostać za żonę.

Wyrzekł to śmiało i stanowczo, matka odwróciła się nagle zagniewana, ale nie odpowiedziała nic. Jaksa podszedł ku niej, odepchnęła go od siebie. Odstąpił i przysiadł na ławie smutny, gdy stara po chwilce przystąpiła doń, głowę rękami objęła i poczęła całować. Starej nieznane łzy kręciły się pod powieką. To odpychała syna, to przyciągała go ku sobie, naostatek odtrąciła i poszła do ognia zadumana.

W tejże chwili nie wiedząc może o niczem, czy też domyślając się, wbiegła do izby Błogosława. Stara chciała jej zastąpić drogę, zapóźno. Wbiegła wewnątrz i zobaczywszy siedzącego Marka, krzyknęła.

Jaksa się zerwał ku niej, stanęli naprzeciw siebie w niemem zachwyceniu któremu słów zabrakło.

Staruszka spoglądała na nich z boku, aż gniewna wpadła między nich, aby ich z tego osłupienia wyprowadzić.

— Pozdrowienie wam od ojca waszego przywożę! — odezwał się Jaksa. Dziewczę usłyszawszy ojcowskie imię, przebojem rzuciło się ku Jaksie.

— Ojciec! żyje więc ojciec! — zawołała — a chodźcież coprędzej do matki, poświadczcie to żywem słowem, pocieszcie ją! Żyje ojciec. Bóg niech będzie błogosławiony.

Ze złożonemi rękami padła pośród izby na kolana.

Jaksa, który w prostocie swej, nawet dla pocieszenia tych, których kochał, kłamać nie umiał, dodał wnet.

— Żyje ojciec wasz okaleczony okrutnie, ale żywota już bezpieczny. Ze Światosławem oba odprowadziliśmy go do młodych książąt do Płocka.

Zakrzyknęło znowu z radości dziewczę, posłyszawszy o bracie. Stara Jaksowa już teraz nie mogła nic, bo Błogosława chwyciła Marka za suknię u ramienia i ciągnęła go gwałtem do matki.

— Chodźcie! zlitujcie się! chodźcie!

Nie sprzeciwiając się, odstąpiła Jaksowa, ale z brwiami namarszczonemi, mrucząc groźno, że jej syna zabierano. Szła wieczerzę sposobić dla dziecka, łając dziewczęta i rozpędzając je gniewnie.

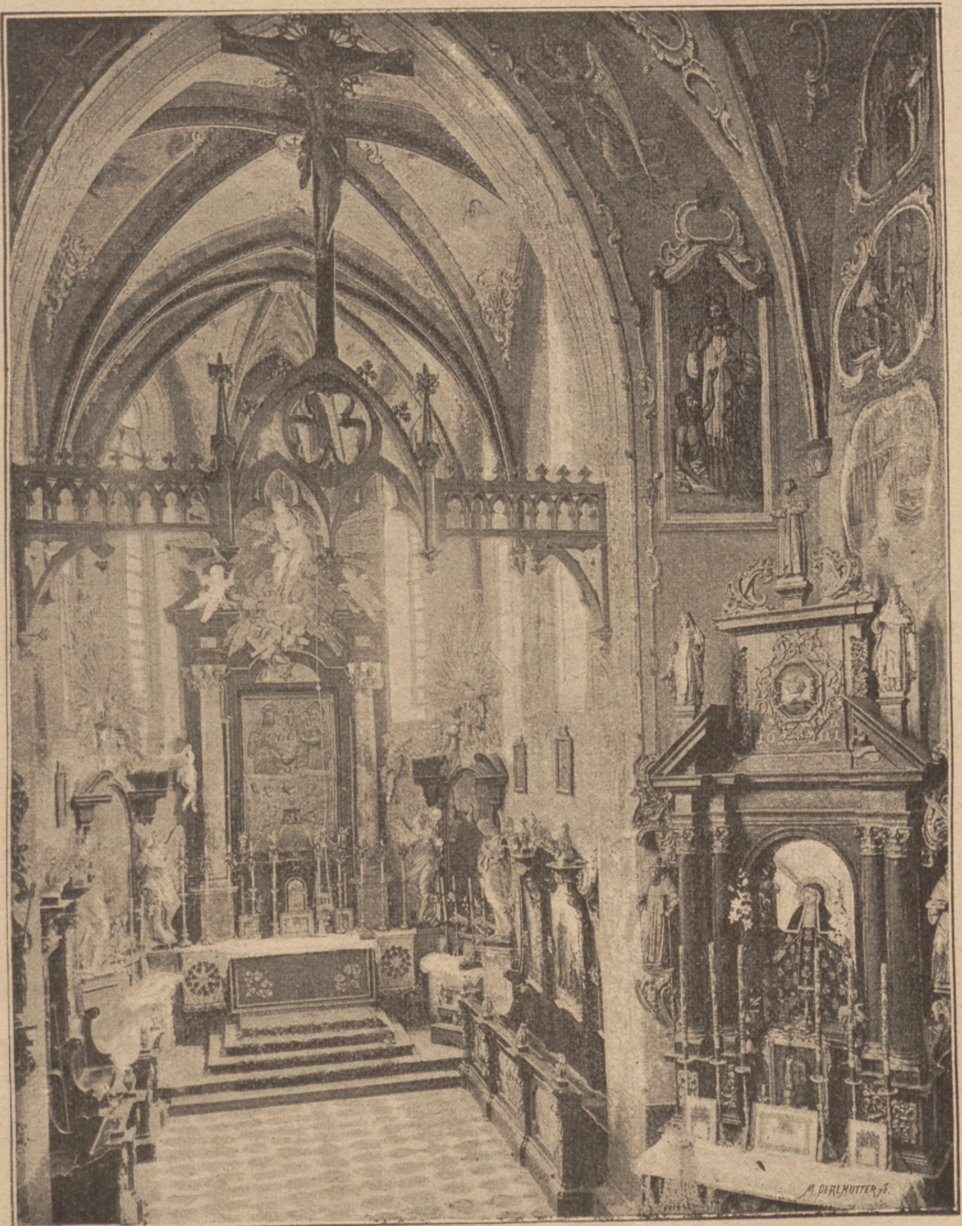
Przez sień tylko przejść było potrzeba do komnaty, w której Petrkowa cały ten czas więcej leżała, niż siedziała. Złamana niedolą swoją, bezwładna większą część dnia spoczywała z głową osłonioną chustami, jęcząc i wyrzekając.

Gdy na próg wpadła Błogosława, ciągnąc Jaksę za sobą i wołając:

— Żyje ojciec! żyje! — porwała się z posłania Marya, odrzuciła chusty, spojrzała na Jaksę, którego nie bardzo lubiła, jakby z przeczuciem, że jej miał potem wołać zaczęła, rwąc się z pościeli jak nieprzytomna, że natychmiast ztąd chce jechać do męża.

Córka ująwszy ją rękami, zaledwie mogła uspokoić.

— Miłościwa pani, — rzekł Jaksa —



WNĘTRZE KOŚCIOŁA ŚW. KINGI.

córkę odebrać, i pytać zaczęła szybko:

— Gdzie? co się z nim stało!

Jaksa nie zataił nic, opowiadając wszystko, czego był sam świadkiem. Płakała znowu Petrkowa słuchając, a wtrącając pytania o syna, o ludzi, o skarby, nie może to być, abyście teraz z zamku ruszyli. Ja sam ledwie się tu żyw dostałem, poganie dzicy i wojska Władysławowe wszystkie ziemie zalewają. Życia ani wolności nie bylibyście pewni. W oblężonym grodzie, Płocku czy Pozna-

niu, lepiejby wam nie było, ani bezpieczniej niż tu, gdzie my; gdyby i dzicz nadpłynęła, zawsze się obronić potrafimy.

Z mowy jego dopiero, gdy się szerzej począł tłómaczyć, dowiedziała się Petrkowa, iż jest u matki Jaksowej, i zamilkła zaraz zdziwiona.

Po długich pytaniach, na które Marek odpowiadał coraz nowymi szczegółami, puszczono go nareszcie do matki. Wyszedł smutny i znękany i widokiem Błogosławy tak przejęty, że sobie rzekł, iż gdy mu ją sam Bóg dał i do grodu przyprowadził, nie odda jej już nigdy i nikomu, choćby za nią i wojnę toczyć przyszło.

Z tą myślą w duszy do izby powrócił i myśl tę pewnie Petrkowa odgadła, gdy się strwożyła, dowiadując, gdzie się znajduje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARTYN.

(Dokończenie).

Zniknął dziad; Martyn stanął zadziwiony,
Ale go zbudził płacz sąsiada żony:
Umierał sąsiad w obłożnej chorobie,
Dzieci jak maku.... Martyn myśli sobie:
Gdyby to prawda, co dziad mi powiedział,
Gdybym poradzić co tym biednym wiedział.
I do sąsiada wszedł, aż oto stoi
Śmierć w jego głowach... »O sąsiedzi moi!«
Zawołał Martyn serdecznie wzruszony,
»Sąsiad śpi długim niewczasem znużony,
A wy myślicie, że on już nie żywy.
Dajcie mu do rąk trzy listki pokrzywy
A zaraz wstanie... No, wstawaj sąsiedzie.«
I sąsiad ciężką głowę swą podwiedzie,
Podwiedzie nogi i ręce odwinie:
»Mocnom spał« rzecze, »sąsiedzie Martynie;
Pójdziem na piwo, coś mi pachnie piwo.«
I poszli... a lud patrząc na to dziwo,
Nie wierzy sobie i szepce do ucha.
I wnet po świecie obleci wieść głucha,
Że Martyn znachor, a jak do znachora,
Pół świata zbiegnie.
Przejdzie jakaś pora,
A już Martyna nie tylko kmiotkowie,
Lecz nawet znają pałaców panowie.
Ba! i sam Martyn w jakim mieszka dworze!
Jak pan już chodzi w niemieckim ubiorze;
Rozumnie mówi. Nie tyle się zmieni
Wąż, co się z skóry zimowej wyleni,
Ile się zmieni on w zwierzchniej postaci:
Gdzieś zmarszczki z czoła, z rąk skorupę straci,
Nabierze ciała, rumieńca dostanie.
A jego żona... to pani nad panie;
A jego dzieci, te za rosą Bożą
Jak pszczółki w ulu dziwnie się rozmnożą.

W sławie, dostatkach i mnogiej rodzinie
Ot Martynowi trzydzieści lat spłynie;
Był w najweselszym jak zawsze humorze.
Ni ztąd, ni zowąd wyszedł na rozdroże,
A na rozdrożu tak dawno widziany
Któż taki stoi? Ha! dziad kum kochany.
Martyn się rzuci na szyję kumowi,
Ściska, całuje, a całując mówi
O swojem szczęściu, o swoich dostatkach,
O wielkim dworze i o ślicznych dziatkach
I prosi, by on uczcił jego progi.
»O mój doktorze! chcesz, by dziad ubogi
Wszedł w takie państwo; wreszcie kiedyś może
Ja zawędruję na twoje podworze,
Ale mam prawo żądać, byś ty wprzódy
Zechciał do mojej zawitać gospody.«
»A z całej duszy.«
Zalegał rozdroże
Ogromny kamień, co grób zająć może.
Dziad nogą trącił i kamień odskoczył
I loch otworzył. Dziad do lochu wkroczył,
Wkroczył i Martyn; i szli wśród ciemnicy,
Aż się znaleźli w niezmiernej świetlicy
W której, jak zajrzysz, to świeca przy świecy:
Jedne z nich widać tylko zapalono,
Drugie w połowie jarkim ogniem płoną,
Trzecie się zdaje, że ot, ot zagasną,
A jednak świecą; czwarte świecąc jasno,
Razem zgasały; piąte w jednej chwili
Niewidni słudzy palili, gasili.

Zdziwiony Martyn zapytuje dziada:
»Coby to było?« Dziad mu odpowiada:
»To życia ludzkie; popod całą ziemią,
Wszędzie, gdzie tylko ludzie się rozplemią,
Są takie lochy, takie światła płoną.
Każdy człek ma tu świecę zapaloną:
Póki tej świecy, póty życia jego.«
»Gdzież proszę świeca żywota mojego?«
»A zobacz... oto dopala się właśnie.«
I ujrzy Martyn choć płonący jaśnie,
Ale dogarek bardzo już nieznaczny;
Zlęknie się, a dziad: »O jakżeś dziwaczny,
Mój kumie, czybyś zechciał żyć na wieki?
Wszak żyłeś tyle i jeszcze daleki
Czas twojej śmierci; bo stoi w twej doli,
Że twoja świeca pali się powoli,
A choć powoli, jednak kiedyś spłonie.
Bądź zdrów, mój kumie, nie śmierć przy swym [zgonie,
Lecz mnie zobaczysz.«

Znów puste rozdroże...
W niemiłym Martyn powraca humorze:
Osiada w domu, ucieka od świata,
Czekając śmierci, pędzi nudne lata;
W końcu zaniemógł. Choć chory nie chory,
Z wszystkich stron jemu zwieziono doktory:
Radzą a leczą, leczą a radzą.
Martyn już widzi, gdzie go zaprowadzą
Te mądre rady, a tu żyć mu chce się;
I zaczął myśleć, i myśl mu przyniesie
Fortel, co może śmierć oszukać zdarzy.
To przywoławszy tokarzy, stolarzy,
Każe dla siebie takie zrobić łoże,
Co w okamgnieniu okręcić się może.
Przynieśli łoże, on w niem się położył,
I doświadczenie sto razy powtórzył.
I myśli sobie: Niechże się dziad zjawi,
Oho! nielada ze mną się nabawi.
On mnie za nogi, a tu moja głowa;
Może się jaka zrobi z nim umowa,
Jaki dziesiątek lat się wytarguje.
I znowu łoża swojego sprobuje,
Kręci się, wierci, aż lubo, aż miło...
I nowe życie w Martyna wstąpiło:
Wesół, ochoczy. Ale cóż u kata?
Jakażto w nogach bestya brodata?
To dziad kum stoi... Więc nietracąc głowy
Martyn z swem łożem zaczął kurs młynkowy;
Lecz choć się wierci, bieg dwoi i troi,
Dziad kum przy nogach i stoi i stoi.
Kiedy już Martyn na siłach upada,
Dziad kum do niego śmiejąc się powiada:
»Kumie Martynie, kruty ne werty,
Nadeszła pora, treba umerty.«
Martyn z przestrachu z wszystkich sił się rzucił
I z swem się łożem na ziemię wywrócił;
Śmiejąc się przyszedł do niego kum stary
I spokojnego położył na mary.

Żywot św. Kunegundy albo Kingi, księżnej polskiej.

(Z 4 obrazkami).

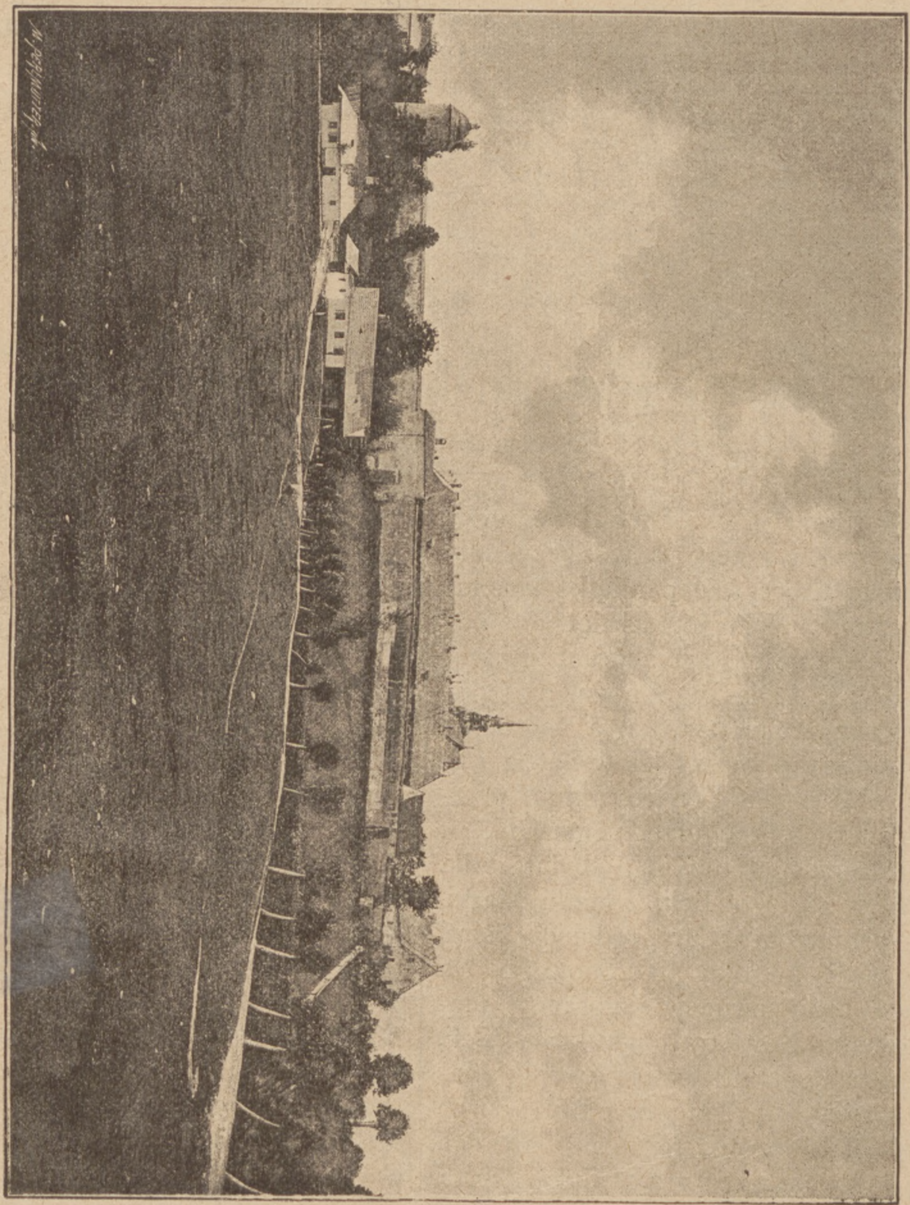
Lat 600 temu, jak umarła ś. Kunegunda, a ponieważ umarła w Sączu, dla tego tamże uroczyście pamiątkę śmierci obchodzono. Najlepiej uświęcimy pamięć świętej, jeżeli sobie przypomnimy przykład jej. Dla tego podajemy główne sprawy z jej żywota a na obrazkach miejsca pobytem jej w Sączu pamiętne. W zamku Rytro święta przebywała chroniąc się przed Tatarami.

Kunegunda albo Kinga była córka króla Węgierskiego Beli, z matki Maryi, cesarzowej Greckiej Carogrodzkiej, której ojciec szedł z rodu Neronowego, a matka z rodu świętej Katarzyny męczenniczki. Brat rodzony króla Beli, Kolomanus, był książęciem ruskim Halickim i miał za żonę Salomeę, córkę książęcia Polskiego Krakowskiego Leszka, siostrę rodzoną Bolesława Pudyka. Która jechawszy do Węgier, Kunegundę powinną swoję tajemnie do Polski wywiozła, aby ją za żonę dała Bolesławowi bratu swemu. Miał wtenczas Bolesław lat 12 i radę miał od matki, aby sobie innej żony nie brał, jedno tę, któraby Salomei, siostrze jego, była podobna, a na pierwsze jego ujrzenie rozśmiała się. I gdy mu ją z wielką pompą i dworem do kościoła przywiedziono, sprawił to Pan Bóg, iż mu się podobna siostrze jego zdała, i najprzód go ujrzawszy, wstydliwie się i wesoło ukazała tak, iż się jej wielce zaraz rozmiłował Maluczką będąc, dała wielkie znaki przyszłej świętobliwości. Był obyczaj ten, iż królewskim dzieciom, skoro je od mleka odsadzono, dawano Najświętsze Ciało Chrystusowe w kielichu; a iż ta, skoro się ochrzciła, przemówiła ono słowo: »Ave Regina Coelorum«, zaraz dane jej jest pierwiej Ciało Pańskie w kielichu, niżeli piersi skosztowała. Odchowana, jeszcze nie mówiąc, u Mszy św., do której ją z innemi dziatkami królewskiemi przynoszono, nigdy nie płakała, ani jeść żądała, ale oczy w niebo podnosiła; od czego odwieść gabaniem żadnem dziecięcia onego nikt nie mógł. Podrastając uczęszczała do kaplicy, równe swoje tam ciągnąc, a z kapłanami aż po końcu Mszy wszystkich nie wychodząc, często modlitwy czyniła i ciało swoje młode trudziła, kazania pamiętała i z niego sobie nauki chowając, panny swe do nabożeństwa namawiała, aby to czyniły, co ona.

O rzecz żadną bardziej Pana Boga

nie prosiła, jedno aby ją przy czystości i dziewictwie zachował.

Jałmużny wielkie czyniła, wiele złota kładąc na ołtarze; w dzień kwietny, suknią, w której w kościele była, wychodząc, na cześć ukrzyżowanego Pana na ofiarę kładła; w wielki piątek czterdzieści ubogich karmiła, nogi umywała, odziewała. Gdy do klasztoru Salomei św. Klary wchodziła, w drogą się szatę ubierała i tam ją na ofiarę zostawiała. Zalecając jednę białogłowę do klasztoru, nie bardzo do tego sposobną, Duchem św. prorokowała, iż inne życia doskonałością przechodzić miała. Co się tak stało. W drodze żadnego kościoła nie minęła, aby ofiary do niego posłać nie miała; a gdzie był kościół Najświętszej Panny Matki Bożej, do niego pieszo szła i boso, po najgorszej i najostrzejszej drodze. W Skarzyszowie gdy wnijść do kościoła chciała, czart się jej w osobie baby, wyższej niżeli kościół ukazał; krzyknęli inni z bojaźni, a ona go krzyżem św. odpędziła, i kościół się jej sam otworzył.



Widok klasztoru św. Kingi w Starym Sączu.

W Węgrzech, ojca swego, króla Belę, nawiedzając, uprosiła u niego górę jednę

soli i tam w nię pierścień swój wrzuciła. A potem gdy się w Bochni w ziemi Krakowskiej żupy otworzyły, w pierwszym bałwanie, który wykopano, pierścień się on jej znalazł, który ujrzawszy Kunegunda i poznawszy, dziękowała P. Bogu, czyniącemu cuda tym, którzy go miłują. W tenże czas w Węgrzech będąc, gdy się na ojca jej tajemnie poddani zmawiali i zabić go chcieli, na jednym obiedzie u Pawła niejakiego ona o tem się dowiedziawszy, między one złe ludzie poszła i 30 mieczów z ręki im wydarła, a swoim dworzanom podała, ojca też z onego miejsca wywiodła.

Wróciwszy się do Polski, w ostrem żywocie i jałmużnach rosła, która jej szata najlepiej przystała, tę wnet na ofiarę Panu Bogu dawała, i którykolwiek klejnot ją w oczach ludzkich zdobił, ten zaraz zdjąwszy, na ozdobę kościoła darowała. Gdy ją z urody chwalono, brukała twarz i mazała.

Jeszcze za żywota męża swego, za jego dozwoleniem, uczyniła profesyą przy śpiewanej Mszy w ręku ministra, według reguły św. Franciszka w Krakowie, i tak żyła w posłuszeństwie spowiednika, wszystko, co zakon wyciągał, wypełniając. Przed profesyą kazał jej mąż mięso jadać i zwierzynę i wino pić, ale gdy na rybach przestawała, chcąc ją karać książę, a kosztując, co jadła, uczuł w rybach smak mięsny i od tego czasu dopuścił jej nabożeństwa, jako ona rozumiała, w jedzeniu używać.

Spowiednik jej zakazował boso chodzić, a ona u trzewików podeszwy wyrzynała i niby w trzewikach chodziła. Za co jej spowiednik dał pokutę, aby na ziemi, zawiesiwszy one trzewiki na szyi, siedziała; co ona pokornie wypełniła. Cały poranek na modlitwie trawiła; po obiedzie robiła ręką kościelne ochędóstwa i tak z mężem przez lat trzydzieści w czystości świętej przeżyła.

Gdy jej mąż umarł, jeszcze go nie pogrzebłszy, jawnie ubiór mniszek św. Klary pod regułą św. Franciszka na się oblókła, w dzień św. Melchiada, godnością królowej pogardzając.

Po pogrzebie, z niewczasów i życia surowości z ciała Kunegundy pot krwawy płynął. Potem udała się do Sącza, gdzie miała wiano swoje. Tam klasztor zbudowała i ś. Klary zakon założyła; wiele szlachetnych panienek i z prostych domów nazbierawszy, fundowała i dobrze fortunami opatrzyła, aby się w nim służba odprawowała na pomoc wszystkiego chrześciaństwa, i żywych i umarłych. W tym klasztorze służyła pokornie wszystkim siostrom, tygodnia swego pilnując i naczynia umywając. Jeszcze z mężem będąc, wiele ludzi od grzechu odwodziła; sierot wiele opatrowała, ubogim pogrzeby



Widok starego zamku w Rytra pod Starym Sączem.

sprawowała i matką wszystkim utrapionym była.

Miała osobliwe nabożeństwo na każdą niedzielę w wspominaniu Pańskiego zmartwychwstania i dla tego płakać w pokucie w ten dzień nie chciała; a którą najprzód siostrę spotkała w ten dzień, pozdrawiała ją, mówiąc: Chrystus zmartwychwstał, i gdy siostra odpowiedziała: Zaiste zmartwychwstał, całowała ją nabożnie. Jej całowanie sióstr było czasem z cudami, bo się po niem choroby leczyły. W modlitwie podczas od siebie odchodziła i Ciała Pańskiego na Mszy wtenczas nie widziała, o co się wielką pokutą karała, mniemając, aby to za jej grzechem pochodziło. Wiele ornatów i kościelnego drogiego sprzętu do kościołów rozsyłała.

Czasów jej Tatarowie wszystkę Polskę wojowali, a Leszko książę, uciekając do Węgier, pilnie się modlitwie św. Kunegundy zalecał, która z swojemi pannami, uciekając z Sącza, zamknęła się w zameczku, Pieniany nazwanym; do którego gdy przyszli Tatarowie, długo pod nim leżeli, a żadnej szkody i w budowaniu nie uczynili. Tam w oblężeniu, gdy jej wina nie stało, które z wodą pijała, nic innego pić nie mogąc, dwa młodzieńcy dwie flaszy wina przynieśli do zamku, których wnet znaleźć i widzieć nie można było. Bez wątpienia Aniołowie byli.

Rok przed śmiercią bardzo chorowała, i w niemocy onej ustawicznie chwaląc Chrystusa i dziękując za dobrodziejstwa, widziała św. Jana Ewangelistę i Salomeą, a oni ją cieszyli, i blizko wyjścia swego, rzekła do stojących sióstr: Ustąpcie się. Spytały: Dla czego? A ona rzekła: Nie widzicie św. Franciszka, oto do mnie idzie cieszyć mnie. Chwaliły Boga siostry, a ona modląc się Panu Bogu, a wiedząc o swojem dokonaniu, mówiła: Panie Jezu Chryste, wszystkom od ciebie miała na tym świecie, nikomu tego nie wracam, jedno tobie i służebnice te twoje, którem zebrała, tobie zostawuję i twojej się obronie polecam. Do sióstr zaś mówiła: Najmilsze córki, jeżeli trwać będziecie w tej świętobliwości, w której was zostawuję, obiecuję wam i od Pana Boga przyrzekam, iż chwała Boża aż do dnia sądnego z tego klasztoru nie wynijdzie.

Po śmierci męża swego mięsa nigdy nie jadła, we środy i w piątki na chlebie samym wieczór przestawała, toż i w sobotę czyniła. W wigilie Panny Maryi trochę opłatków jadła. Przed północą zawżdy modlitwę czyniła aż do zorzy przed krucyfiksem w komorze i w kościele. A poczynając modlitwę, pierwiej serce żegnała, mówiąc ono z Psalmu: W zakonie Pańskim serce jego i o nim rozmyślać będzie we dnie i w nocy. Potem wszystko ciało żegnała, mówiąc: Stało się jako drzewo szczepione wedle wody; i znowu głowę żegnając, mówiła: List z niego nie opadnie, a cokolwiek pocznie, szczęścić mu się będzie; potem się nizko skłaniała, i na ziemię upadając, hojne łzy wylewała.

Także przy słuchaniu Mszy trzykroć króbeczkę jednę łzami nalewała. Potem siostrom służyła, opatrując, czego której potrzeba, w piecach paląc i inne wzgardzone posługi ochotnem sercem czyniąc. Po Komplecie milczenie zachowała, tylko znakami mówiąc. Po wieczerzy czytała i powiadała Żywoty Świętych i wielkiem się nabożeństwem na nich zabawiała, a zwłaszcza św. Antoniego i innych, z których wielką pociechę brała. W chórze im lepiej siostry śpiewały, tem się wyżej myślą w niebo podnosiła, jakoby między Aniołami stała, i z ust jej dziwnie wdzięczne śpiewanie i jakoby rozmaite wychodziło. Do Aniołów ŚŚ. wielkie miała nabożeństwo. Będąc czystą panienką, a męża nie znając, nie chciała być poświęcona między pannami, ale między wdowami. Co gdy jej wymawiał spowiednik Boguchwał, iż źle poświęcona była, ponieważ czystą dziewicą, a nie wdową została; ona pokornie przed nim padała, prosząc, aby nikomu o jej dziwictwie nie powiadał. Lecz gdy ten Boguchwał umierał, przyzwać kazał ludzi wiele płci obojej i rzekł: Oto ja idę drogą wszystkich ludzi, wiedzcie, iż pani Kinga będąc w małżeństwie, dziewicą została, a miejcie ten znak, na miejscu tem, gdzie dziś sukno przedają,

pokrzywy i trawa na nim rość będzie. Co się potem stało, bo miasto przeniesione jest. Duchem prorockim powiadała, iż między siostrami ona pierwiej z tego świata zejść miała. Umarła między siostrami, wziąwszy wszystkie Sakramenta w wigilią św. Jakóba r. 1292. Wonność wielką po śmierci siostry uczuły, wiele ich widziało w objawieniu duszę jej w niebo idącą; między innymi Chryzantus, kanonik Wiślicki, chodząc po cmentarzu, słyszał głosy Anielskie śpiewające: Regnum mundi etc. Po śmierci cudami słynęła, o których tamże jest szeroko wypisano. Na cześć Bogu w Trójcy jedynemu, Amen.

NAD KRATEREM WULKANICZNYM.

Z powodu znacznego wybuchu wulkanu Etny na wyspie Sycylii około połowy zeszłego miesiąca udał się pewien podróżny, R. Hartwich z Mesyny, na miejsce dla zbadania zajścia tego i stwierdzenia prawdy i tak opisuje swoje spostrzeżenia:

Pociąg pospieszny dowiózł nas w dwóch godzinach wzdłuż wspaniałego wybrzeża wschodniego Sycylii do małego, ale miluchnego miasteczka Acireale, gdzieśmy stanęli o godzinie 2 po południu. Pierwszem zadaniem naszem było obejrzeć się za wózkiem jednokonnym, jakich tu używają, któryby nas zawiózł do Nicolosi, wioski najwyżej na Etnie położonej. Wnet stanął przed nami woźnica z najpoczciwszą w świecie twarzą i podjął się wypełnić nasze życzenie, zapewniając nas jak najmocniej, że jego koń najsilniejszy, jakiego w ogóle na całej Sycylii widzieć można. Na nasze zapytanie, coby też żądał za jazdę, odrzekł nam jak najuprzejmiej, że, skoro tylko jego wózek zobaczymy, z całą przyjemnością zapłacimy 20 franków (16 M.) Kiedyśmy mu z równym spokojem oświadczyli, że ani nam się nie śni dać się obdzierać, że może sobie pójść, zkąd przyszedł, i że z łatwością tańszych znajdziemy, wtedy zaklinając się, że w żaden sposób taniej jechać nie może, spuścił połowę ceny od razu. Dobiwszy tak po przyjacielsku targu, poruczyliśmy dowiezienie nas do upragnionego celu woźnicy i jego rumakowi, który, acz był nienajgorszym, jakim w mem życiu jechałem, jednakowóż nijako ubiegać się nie mógł o pierwszeństwo pomiędzy końmi sycylijskimi.

Drogą niekiedy bez końca się wydawającą podjeżdżaliśmy pod górę przez spłazy ziemi, lawą od dawien dawna zalane, około wygaśniętych kraterów. Mimo że jazda szła haniebnie powoli, a droga była po prostu okropną, nie było nam wcale nudno, gdyż co chwilę wpadają tu w oko nowe widoki, zdolne każdego zainteresować. Tu zachwycają nas najbujniej na dawnych pokładach lawowych rozrosłe winnice i sady, tam wioska zbudowana widocznie na każdy przypadek lekko tylko i pobieżnie: mury domków poskładane z kawałów zastygłej lawy, zaledwie tu i owdzie wapnem pozlepianych, a drzwi i okna powstawiane luźno w pozostawione otwory bez ram i futer; taniość jest ich najwyraźniejszą zaletą. Jeżeli wybuch grozi niebezpieczeństwem — bo nie wszystkie są niebezpieczne, — natenczas wyjmują mieszkańcy drzwi i okna, obładowują niemi i resztą prostych sprzętów domowych osły i uciekają w doliny. Zabierze potok lawy dom próżny, — ha, to pobuduje się nowy, toć majątków wielkich do tego nie potrzeba. Przed nami zaś na wysokości trzeciej części Etny zawisły i kłębiły się ogromnych rozmiarów chmury dymu i wyziewów siarkowych, ulatniające się tłumnie z ogniska tegorocznego wybuchu, podczas gdy otwór główny wulkanu na szczycie zdawał się być bezczynnym.

O godzinie 7 wieczorem dotarliśmy wreszcie do Nicolosi. Pokrzepiwszy się

tam w hotelu dell' Etna, który się zapewne dla tego hotelem nazywa, że w nim drogo, jak w wielkich hotelach, i popłukawszy prawdziwie włoskie jadło znakomitem winem tamże rosnącem, którego smak trąci dziwnie popiołem, udaliśmy się w dalszą drogę. Już podczas jazdy zgodziliśmy pewnego chłopa, któregośmy spotkali, jako przewodnika aż do okolicy kraterów, dawszy mu zarazem polecenie wystarania się dla nas o dwa muły. Stawił on się w sam czas wraz z dwoma pomocnikami do popędzania mułów, wieśniakiem w podeszłym już wieku i tegoż 15-letnim synem, zgrabnym i wesołym młodzieńcem, i dwoma mułami. O godzinie 8 wskoczyliśmy na siodła, nadzwyczaj niedogodne, bo zbyt szerokie i bez strzemion i ruszyliśmy dalej ku szczytowi.



Ruiny zamku w Rytra. (Dokąd się schroniła św. Kunegunda przed nieprzyjaciołmi.)

Na ulicach wioski panowało ruchliwe i hałaśliwe życie. Wszystko co żyło zebrało się przed hotelem, to polecając siebie nader wymownie za przewodnika, to wychwalając swe osły i muły. Tego jednak dnia mało było obcych podróżnych, tak że daleko większa część mieszkańców do domu z niczem powróciła. Jeszcze w wiosce będąc, spostrzegliśmy w miejscu, w którem podczas jazdy zauważyliśmy owe zbite masy dymu, od czasu do czasu jasną łunę, nic to jednak w porównaniu do zdumiewającego widoku, jaki się oczom naszym przedstawił, skoro wydostaliśmy się po za ostatnie chaty wioski. Na prawo przed nami ujrzeliśmy ogromne, jak krew czerwone morze ogniste, z którego od czasu do czasu unosiły się z hukiem do grzmotu podobnym olbrzymie snopy gorejące, podczas gdy z góry na dół ciągnęły się olśniewające swym połyskiem strumienie ogniste: świeża lawa. Choćby tylko tym widokiem napaść swe oczy, warto było, przyznaję chętnie, puścić się w tę uciążliwą podróż. A jednak to, cośmy dopiero widzieć mieli, było jeszcze więcej zdumiewającem, jeszcze wznioślejszem. Około tak zwanych Monti Rosi, dawniejszych kraterów, dziś wypalonych do szczętu i uprawianych, potem przez lawę z roku 1886 zdążaliśmy po dość grubej warstwie popiołu coraz dalej a dalej. Tymczasem zrobiło się tak ciemno, że przewodnik widział się zmuszonym zapalić małą latarkę do oleju; ta jednak tak słabo świeciła, że prawie niczego rozpoznać nie mogliśmy. Mimo to stąpały muły z prawdziwie podziwienia godną pewnością z kamienia na kamień, ze skały na skałę; znały one oczywiście dobrze drogę, dzień w dzień chodząc nią do rozpadlin góry — po śnieg, który wielkiemi masami ztamtąd znosiły do miast nad wybrzeżem położonych. Jest to jedyny sposób, w jaki się tam ludzie

po strasznych całodziennych upałach o ochłodę postarać mogą. Od czasu do czasu spotykaliśmy jeszcze garstki ciekawych podróżnych, do tego, co my, celu zdążających, im wyżej jednak, tem większa otaczała nas pustka, którą przerywał tylko łomot głuchy podziemny i łoskot krateru wybuchowego, coraz silniejszy i częstszy, aż wreszcie nieustający ani na chwilę. Tak dotarliśmy do wielkich lasów kasztanowych, jakie na pół wysokości Etny się ciągną. Gęste liście kasztanów zasłaniały nam na dłuższy czas widok krateru, za to tem silniejszem było wrażenie, jakiego doznaliśmy, stanąwszy na zrębie. Jazda była przecudna, dotkliwe zimno zaczęło tylko nas przejmować, bośmy byli za lekko ubrani; ubiór nasz był zastósowany do miejsca i pory, kiedyśmy wyjeżdżali z Acireale, teraz zaś znajdowaliśmy się na wysokości 1500 metrów. W ostatnim domku przez ludzi zamieszkałym, a nazwanym »casa del bosco,« do którego dotarliśmy o godzinie 11 i pół, spoczęliśmy na chwilę. Uprzejmi ludzie, leśnicy, przyjęli nas gościnnie u siebie i opowiadali o strasznem trzęsieniu ziemi, które poprzedziło tegoroczny wybuch. Wtedy to nie spali wcale w swym domku, tylko spędzali dnie i noce pod gołem niebem, nie wiedząc gdzie się nowy otwór otworzy, czy dalej, czy w pobliżu, czy może nawet pod samą chatką. Tym razem jeszcze szczęśliwie poszło, można sobie jednak wystawić, jak się strachać musieli biedni ludziska, kiedy trzęsienie ziemi dochodziło nawet do Mesyny i tam jeszcze przerażało mieszkańców.

Po półgodzinnym spoczynku ruszyliśmy dalej. Kawałek drogi przebyliśmy jeszcze na mułach, poczem pozostawiwszy je oba pod dozorem wieśniaka i syna jego, wdrapaliśmy się na dość stromy pagórek, prawdopodobnie także wygasły krater, nazwany Monte Capriola. Na szczycie jego zatrzymało nas najprzepyszniejsze a zarazem przerażające ogromem widowisko: otwór i ognisko wybuchowe, które nam przez ostatnie pół godziny znikło z oczu, leżały pod naszemi stopami!

(Dokończenie nastąpi.)

PODANIA LUDU SZLĄSKIEGO.

Poganka.

Kiedy dziki naród pogański a wojowniczy przyleciał do nas od wschodu, przyprowadził ze sobą wielką moc koni, lecz karmił takowe nie owsem, jak u nas, lecz jakiemś dziwnem, nieznanem i niewidzianem ziarnem. Ziarno było graniate, czarne, bardzo nie pozorne. Kiedy konie swoje karmili na polu, bez żłobu lub jakiego naczynia, wiele ziarna zostało wdeptane w ziemię, przezimowało, a wiosną wyrosło.

Lud z początku nic sobie z tego nie robił, nie wiedział, na co to użyć. W końcu jednak przypatrzono się ziarnu, łupano takowe i przekonano się, że w czarnej łupinie znajduje się białe ziarno, pożyteczne na pokarm dla ludzi i bydła. Zaczęto używać tego ziarna i siać takowe, a na pamiątkę, że przez pogan do nas przyszło, nazwano poganką.

Żona oduczyła męża pijaństwa.

Pewna żona miała męża pijaka. Każdego dnia przychodził pijany do domu, przyczem niemiłosiernie klął, wyzywał, a czasem bił żonę, dzieci i czeladkę. Żona płakała, prosiła go, przypominała niebo i piekło, wskazywała, jako bieda coraz większa w domu, wszystko daremnie. Nareszcie przyszła jej dobra myśl do głowy. Kiedy mąż znowu leżał pijany na pościeli, związała mu ręce i nogi, głowę owinęła w chustę położyła go na mary, zapaliła świecę i lamentowała jakoby nad umarłym. Zbiegli się sąsiedzi, modlili się i śpiewali pieśni żałobne, aż się mąż obudził z powodu

narzekania żony i śpiewu sąsiadów. Zaczął głową kręcić a ruszać rękoma i nogami. Wszyscy przytomni zlękli się, że niebożczyk ożył. Mąż, widząc, co się dzieje około niego, dostał strachu, aby go nie pochowano żywego, zaczął prosić i błagać, aby go rozwiązano. Uciekli sąsiedzi, uciekła żona, jakoby się bała niebożczyka. On wołał: nie bój się żono, ja żyję, rozwiąż mnie. Kiedy go nareszcie żona oswobodziła, dźwignął ręce ku niebu i poprzysiągł, że już nigdy gorzałki pić nie będzie, i dotrzymał słowa.

Mora.

Mora przychodzi w nocy na ludzi i gniecie ich. Morą stanie się każdy człowiek, który się urodzi z dwoma zębami. Jeżeli się te zęby wyłamie dziecku, to będzie jak każde inne, a jeżeli nie, to musi całe życie chodzić po ludziach a gnieść.

Był sobie szewc bardzo ubogi a chory, bo go mora często dusiła. Ludzie mu radzili, aby kiedy mora przyjdzie, ją złapał, a trzymał, co złapie.

Usłuchał szewc, a kiedy mora na niego przyszła, pochwycił ją, a tu ma kota, a z kota zrobiła się słomka. Wziął młotek i przybił słomę gwoździem na ścianie. Kiedy rano otworzzył oczy, zobaczył starą babę zawieszoną za rękę na ścianie.

Domowy gad.

Nie pamiętam, kiedy to było, słyszeliśmy nieraz w izbie głos kr, kr, kr. Słuchamy, co to? Słychać było za stołem, piecem, gdzie bądź. Mówiono, że to znak, iż umrze gospodarz lub gospodyni. Kiedyśmy w domu rzepę lub co innego okrawali, wtenczas niebożczka matka rzekła: dziewuchy, śpiewajcie. I śpiewaliśmy pieśni do Matki Boskiej i inne pobożne, rozmaite. A domowy gad wołał kr, kr, kr; każdego dnia nie wrzeszczał.

Dziwny chłopiec a koń.

Pewnego razu szła kobieta przez łąkę do lasu. Kiedy w las weszła, zobaczyła chłopca siedzącego na pniu, pozdrowiła go po chrześciańsku, lecz chłopiec tak jak koń się odezwał, kobieta ze strachu uciekła.

Przez tę łąkę między lasem szedł chłop, niosąc bóty na kiju. Zobaczył konia pasącego się na łące. Położył bóty, aby konia złapać. Kiedy za nim leciał, koniowi nogi zanurzyły się w bagnie, za chwilę koń był bez głowy i leciał za chłopem. Zląkł się chłop, a nazywał się Fabian, zostawił bóty i uciekł do domu. Na drugi dzień poszedł po bóty, znalazł je, ale śladu kopyt po koniu bez głowy nie było.

Perły na końskiej głowie.

Była w pewnem miejscu jama, w której wilki chwytano. Znaleziono tam końską głowę, a naokoło niej pełno pereł. Skoro się końską głowę poruszyło, leciały z niej same perły różnobarwne. Pewnego razu nabrała sobie dziewucha tychże pereł i zawiesiła na szyi.

W nocy przyszedł do niej duch z kosą i groził, że jej głowę utnie, jeżeli natychmiast pereł nie odniesie, zkąd je wzięła. Dziewucha się zlękła i odniosła perły na swe miejsce.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Tak rozmyślając i od czasu do czasu pomrukując, postępował Józef naprzód. Naraz ujrzał w pewnem oddaleniu gromadę dzikich. Stanął czemprędzej, a nawet ostrożnie kilka kroków wstecz się cofnął i bystro spojrzał, co robią. Zatruwali oni właśnie swoje strzały, co u tamtych narodów zawsze z pewną uroczystością się odbywa.

Józef nie dziwił się wcale i uważał

to za rzecz całkiem naturalną, ale ciarki przeszły mu po ciele i schował się jak najlepiej w gąszcze. W tej samej chwili zwrócił mimowoli oczy ku górze i zobaczył balon, rzeczywiście balon, odległy na jakie 100 stóp od niego. Krzyknąć jednak nie mógł, nie chcąc się zdradzić i wpaść w ręce dzikich.

Ścisnęło mu się serce mniej z rozpaczy, jak z rozrzewnienia i wdzięczności.

— Mój pan mnie szuka! Mój pan nie opuścił mnie! Kochany mój pan!

Po niedługiej chwili dzicy odeszli. Józef opuścił swoję kryjówkę i począł biedz ku brzegowi jeziora, gdzie gąszcz nie był tak gęsty. Ale gdy tamdotąd dobiegł, już balon zniknął w dali. Postanowił na niego czekać, bo sądził (i słusznie), że Fergusson z balonem krąży w około.

I balon rzeczywiście się ukazał, choć w większej odległości, niż przedtem. Józef porwał się, zaczął biegać, dawać znaki, krzyczeć... napróżno! Z balonu go nie spostrzegli, a wiatr gwałtowny popędził ich w bok i wnet zniknął z oczu biednemu Józefowi.

Po raz pierwszy uczuł, że traci otuchę i nadzieję. Odpędzał myśli o swojem położeniu, aby nie poddać się rozpaczy, ale myśli czarne gwałtem cisnęły mu się do głowy.

— Zgubionym! — biadał.

Nie zastanawiając się, czy to dobrze, czy nie, począł iść w kierunku, w którym balon odleciał. Szedł cały dzień i kawał nocy; gdy go siły opuściły, wlókł się po czworakach naprzód, byle nie stanąć, byle się poruszać, bo czuł, że gdy stanie, to śmierć!...

Ciemność go ogarnęła; nie widział nic przed sobą, ale wlókł się naprzód!

Wtem uczuł jakąś miękkość pod sobą. Porwał się, ostatnie siły zebrawszy, i powstał na nogi. Ale równocześnie nogi mu zapadły pod kolana w błoto, bo na ślamisty moczar wszedł. Zaczął się wydobywać, ale skutkiem szamotania jeszcze głębiej zapadał. Macał rękami w około siebie, czy nie napotka jakiego drzewa albo też stalszego gruntu. Napróżno!... Już pod pas zapadł w ślam!

— To śmierć — pomyślał, — to śmierć i jaka śmierć!...

Jeszcze próbował, jeszcze się rzucał, nadludzkie wysilenia czyniąc, i wkopywał się jeszcze głębiej w grób. Teraz pojął, że wszystko się skończyło, że trzeba umierać. Zamknął oczy...

— Panie mój, panie mój! Na pomoc! Ratunku! — zakrzyknął.

Głos jego rozpaczliwy tonął w gęstym lesie i pomrokach nocy.

X.

Pan Ryszard stał niejako na straży w łodzi balonowej, podczas gdy Fergusson aparatu pilnował i co chwilę na barometr patrzał. Długo trwało, zanim Ryszard zdołał dojrzeć coś, coby uwagę jego na siebie zwróciło. Nareszcie rzekł:

— Jeżeli się nie mylę, to tam w oddali widzę gromadę ludzi lub zwierząt, posuwającą się naprzód z ogromną szybkością. Widzę ogromny tuman kurzu i dymu.

— Ej, czy to czasem nie jest wiatr przeciwny, który nas rzuci i będzie pędził w przeciwną stronę? — odrzekł Fergusson z zakłopotaniem.

— Mnie się zdaje, że to stado dzikich wołów lub gazeli.

— Może być, ale trudno rozpoznać, bo przynajmniej z dziesięć mil od nas odległe, a nawet przez dalekowidz nic rozpoznać nie mogę.

— Nie spuszczę z oka tego obłoku kurzu. Mnie się widzi, jakby to kawalerya tak pędziła... Doprawdy, nie mylę się! Patrz tylko, przyjacielu, są też i konni.

Fergusson przyłożył szkła do oczu i patrzał uważnie.

— Istotnie — rzekł, — to gromada Arabów. Pędzą co sił i to w tym samym kierunku, co my. Ponieważ nasz balon leci jeszcze prędzej, więc niezawodnie ich dopędzimy. Za pół godziny będziemy mogli rozróżnić ich lepiej.

Ryszard nie odejmował prawie szkła od oczu i półgłosem mówił, co widzi.

— Niby to manewry, albo polowanie. Jakby kogo gonili.

Tymczasem balon pędził ostro, prawie piętnaście mil (angielskich) na godzinę.

— Teraz już widzę wyraźniej — odezwał się Ryszard. — To Arabowie; jest ich z pięćdziesięciu. Nie może to być co innego, jak ćwiczenia wojskowe.

Po chwili dodał:

— Pewnie jednak nie ćwiczenia. Miarkuję to z tego, bo nie trzymają się porządnie przy sobie, lecz każdy pędzi, co koń wyskoczy. Gonią kogoś niezawodnie... Tak wyraźnie widzę, że jeden z nich z jakie 100 kroków przed innymi. To właśnie ów człowiek, który przed nimi ucieka.

Fergusson wyrwał mu dalekowidz z rąk i spojrzał.

Nie trwało długo, a odwrócił się z rozradowanem obliczem i zawołał:

— To on!

— Czy podobna? — zakrzyknął Ryszard, pojąwszy natychmiast, że o Józefa chodzi.

— Tak, tak, to on, — mówił Fergusson, przez szkła patrząc; — ucieka przed nimi, ale go doganiają. Ani 100 kroków od nich oddalony.

Fergusson podbiegł do aparatu, a Ryszard znów dalekowidz do óczu przyłożył.

— Józef, Józef, — zakrzyknął. — Ale jakże nas zobaczy, gdy pędzi w tym samym kierunku, co my.

— Spuszczę balon niżej — odparł Fergusson. — Za trzy minuty będziemy tylko o 50 stóp od ziemi, a za ćwierć godziny tuż nad nim.

— Ja wystrzelę z karabinu — rzekł Ryszard, — aby mu dać znać.

— Nie, to nic nie pomoże. Józef nie może się odwrócić.

— Więc co czynić?

— Czekać!

— Czekać, czekać, — mruknął zniecierpliwiony p. Ryszard, — a tymczasem go Arabowie dopędzą.

Na chwilę zapanowało milczenie. Naraz p. Ryszard krzyknął:

— Wielki Boże!

— Co się stało!

— Koń pod nim padł!

Fergusson wyrwał mu dalekowidz z ręki i znów patrzał.

— Spostrzegł nas! — zawołał. — Ale co dalej?.. Dzielny chłopiec! Dzielny!

— Co robi, co robi! mów? — pytał Ryszard.

— Gdy koń padł, odskoczył trochę, w bok i czekał aż pierwszy z goniących przypędzi do niego. Ponieważ odległość nie wielka, a koń pod Arabem pędził jak strzała, więc tenże nie zdołał go wstrzymać. Gdy obok Józefa przejeździł, skoczył tenże jak kot albo pantera na konia, chwycił Araba za gardło, zrzucił go z konia i pędzi.

— Niech żyje Józef! — zawołał Ryszard.

Arabowie wydali dziki okrzyk, gdy spostrzegli, co się stało, i jeszcze szaleniej zaczęli gonić zbiega. Balonu dotąd nie spostrzegli, bo zanadto byli zajęci pogonią. A balon coraz więcej się ku nim zbliżał. Jeden wyprzedził innych i wyciągnął lancę ku Józefowi. Panu Ryszardowi uderzyła krew do głowy. Pochwycił flintę i nie wiele mierząc, zastrzelił owego najbliższego wroga.

To sprawiło wielkie wrażenie na Arabach; jedni z nich wstrzymali się w pędzie, drudzy pozsiadali z koni; kilku jednak pędziło za Józefem, który na świeżym koniu uciekał.

— Dla czego on tak ucieka, gdy wie, że pomoc blizka? — zapytał Ryszard.

— Uciekać musi, bo napastnicy dognawszy go, nie żartowaliby — odrzekł Fergusson. — Ale Józef mądry! Ucieka w kierunku wiatru tak, że balon musi iść za nim w ślady, bo tak go wiatr pędzi. To bardzo dobrze. Teraz słuchaj, Ryszardzie! Przedewszystkiem odstaw twoję flintę na stronę. A teraz powiedz, czy zdołasz utrzymać 150 funtów balastu.

— Ba, jeszcze więcej uniosę — odpowiedział Ryszard.

— Więcej nie trzeba. Bierz tedy worki z piaskiem i stanąwszy nad brzegiem łódki, czekaj, aż powiem. Wtedy rzuć, ale nie prędzej, aż powiem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Lekarstwo domowe.** Wiele jest takich chorób, którym można zaradzić środkami czyli lekami domowymi. Są to bóle pochodzące z tegc, że skóra i części ciała się kurczą (kurcz żołądka, bóle romatyczne i dry, albo bóle, które pochodzą ze zapalenia lub z okaleczenia zewnętrznego). Gatunek czwarty chorób, to nerwowe. W chorobach pierwszych trzech gatunków masz dwa pewne środki pod ręką, które sprawiają ulgę, ciepło i zimno. Nigdy z tego szkody nie ma, rób to, czego chory pragnie, czy pragnie ochłody, czy pragnie ciepła. Chory lepiej wie aniżeli lekarz, co mu służy, czy ciepło, czy zimno. Co choremu sprawia przyjemne uczucie, to też służy jemu i chorobie jego.

W chorobach kurczowych i romatycznych zwykle ciepło jest pożyteczne, wewnątrz i zewnątrz. W chorobach ze zapaleniem i skutkiem zewnętrznego uszkodzenia lepsze zimno. W chorobach nerwowych czasem lepsze zimno, czasem ciepło, według osoby chorego.

— **Pojedyńczy sposób prania.** Przysposób sobie ług w następujący sposób: na węborek wody $^{3}/_{4}$ funt. mydła i łyżkę p e t r o l e u m. W ten ług wrzący kładzie się brudy suche i gotuje się takową 20—25 minut, wyjmuje się, wyżdżymuje na desce, aby ług, który można jeszcze raz potrzebować, dobrze wyszedł, potem kładzie się bieliznę we wodę czystą wrzącą, którą już trzeba mieć na pogotowiu i w której się bielizna płucze, a potem zaraz kładzie w zimną wodę ku płukaniu. W tej wodzie musi leżeć kilka godzin albo przez noc. W końcu obchodzi się z bielizną tak jak zwykle.

Petroleum sprawia, że brud od razu schodzi w ługu. Po wypłukaniu nic nie czuć, że się użyło petroleum. Środek ten pojedyńczy starczy za maszynę do prania.

— **Najlepszy sposób krochmalenia koszul z gorsem.** Koszule piorą się i maglują, poczem bierze się na jeden tuzin 7 dkgr. najlepszego krochmalu, rozpuszcza w 1 litrze zimnej wody, dodaje 1 filiżankę spirytusu i cokolwiek farbki, — cedzi wszystko przez muślin, zanurza w tem gorsy, kołnierze i mankiety i rozciera dobrze, a potem wykręca. Następnie układa się mokre miejsca na suche części koszuli, zawija mocno, a po upływie godziny prasuje.

— **Lekarstwo na ból głowy.** Jałowcu suszonego utłuczonego 10—15 ziarnek zażyć na czczo w sklance zimnej wody. Po kilkorazowem użyciu ból głowy z pewnością ustanie.

— **Użycie kaczanów z kukurudzy na herbatę.** Kaczan wyłuszczony z ziarna, dobrze wysuszony, pokrajany w cienkie plasterki i w mleku wygotowany, daje bardzo smaczną herbatę o waniliowym zapachu. Herbatę tę osładza się jak i inne cukrem. Herbata ta jest bardzo zdrowa dla cierpiących na piersi.

— **Powidła z jabłek.** Dojrzałe jabłka kwaskowate, gdyż słodkie na ten cel się nie nadają, pokrajać na ćwiartki, odrzucając jądra, włożyć w kociołek, przykryć i na wolnym ogniu ciągle pod pokrywą, aby sok puściły, gotować, mięszając od spodu łyżką drewnianą, gdy sok puszczą, można postawić na większym ogniu i odkryć, aby się rozgotowały; wtedy przefasować przez rzadkie sita lub przetaki, wlać napowrót w kociołek i gotować, żeby trochę zgęstniały, wylać w garnek kamienny lub na miskę. Na drugi dzień znowu wlać w kociołek lub rądel i gotować, póki nie zgęstnieją, z godzinę od zagotowania ciągle drewnianą warząchwią mięszając na wolnym ogniu. Na trzeci i czwarty dzień jeszcze powtórzyć gotowanie, póki nie opadają kawałkami z łyżki i od rondla odstają. Takie powidła będą bronzowego koloru, miłego kwaskowato-słodkiego smaku; smażone od razu, naturalnie dłuższy czas będą zawsze kwaśne i cierpkie.

— **Poznawanie dobroci koniaku** (Cognac'u). Trunek ten bardzo często podrabianym bywa. Prawdziwy wyrabiają przeważnie we Francyi przez destylacyę białego lub czerwonego wina. Posiada on kolor żółty, który jednak z drzewa beczek świeżych dębowych po największej części przejmuje. Gorsze gatunki fabrykują tamże z lagru winnego i wytłoczyn winogronowych. Podrabiany zaś i gdzieindziej bywa ze zwykłej wódki, zabarwionej palonym cukrem, eterem octowym i t. p.

By o dobroci i prawdziwości koniaku przekonać się można, należy postąpić w następujący sposób: Nalewa się małą ilość koniaku do bardzo cienkiego, gładkiego, okrągłego kieliszka, tę po chwili wylewa z tegoż — a następnie w jednym kierunku aż do rozgrzania kieliszek w ręce wyciera. — Z zapachu, jaki z próżnego kieliszka wydzielać się będzie, poznać można, czy koniak jest prawdziwym, gdyż zapach powinien być zupełnie ten sam, jaki dobre, silne i stare wino posiada.

— **Pomada na porost włosów.** Szpiku wołowego 28 dkgr., smalcu wieprzowego niesolonego tę samą ilość, kory chinowej miałko utłuczonej 35 gram., 9 gram. olejku bergamotowego i 35 gram. wody cynamonowej zarobić i dobrze wymięszać na masę, którą w słoiku dobrze zamkniętym przechowywać należy.

Rozmaitości.

* **Przytułki nocne w Anglii.** Noclegowe schroniska nie są w Brytanii zakładami, któreby samoistnie egzystowały, lecz pozostają zawsze pod zarządem t. z. w o r k h o u s e s (dom ubogich) będących pod dozorem towarzystw dobroczynności, jakie w każdej parafii londyńskiej istnieją. Przytułki londyńskie bywają przy-

stępne o naznaczonych z góry godzinach; przychodnia przyjmuje się bez żądania odeń dokumentów, a zatem pod nazwiskiem, jakie mu się obrać podobało. Przed wejściem do sypialni udaje się gość najpierw do łazienki, skąd wychodzi w bieliźnie należącej do zakładu. Ubranie własne zwraca się gościowi dopiero nazajutrz i to po dokonanem pierwej okadzeniu dla zabicia znajdujących się w niem zarodków zaraźliwych chorób. Każde przytulisko ma odrębny zarząd i wskutek tego w przytułkach z surowszą karnością a lepszemi wygodami często bardzo brakowało miejsca, gdy inne chroniska mniej starannie utrzymywane, szczególnie w lecie, stały pustkami.

Godzina wyjścia rannego nie wszędzie i nie zawsze była dogodną dla wielu osób, które wcześniej musiały spieszyć do roboty. Niedawno temu uchwalił parlament ustawę, mocą której wszystkie przytułki oddane będą pod zarząd centralnego komitetu, który wszystkich potrzebujących noclegu będzie rozdzielał pomiędzy poszczególne towarzystwa dobroczynności. Pożywienie w przytułkach będzie odtąd wydatniejsze a godzina wyjścia wcześniejszą. Niewątpliwie zmiany te będą z wielkim pożytkiem dla niezliczonej tu ubogiej ludności.

Wyobraźmy sobie, że co piąty człowiek w Londynie jest biednym, a ludności ma ta stolica światowa obecnie przeszło 4,500.000, więc blizko miliona wynosi tam cyfrą ubogich.

Żałować mocno wypada, że dziennikarstwo angielskie podając powyższe wyjątki z rozpraw parlamentarnych, nie podało żadnych liczb ani wykazów statystycznych, mogących nam najlepiej unaocznić ubóstwo w Anglii. Niepojęte czasem dla nas na stałym lądzie zubożenie nie dotyka tam, jak u nas, poszczególnych tylko ludzi, lecz całe i to bardzo szerokie klasy czyli warstwy społeczeństwa. Fabryki tam bowiem bez liku pozakładane w dogodnych ogniskach ściągnęły tysiące i krocie robotników, którzy wraz z żonami i dziećmi stanowią milionową armią ubóstwa tak upodlonego, jak go nie masz nigdzie u nas na stałym lądzie.

Nadmierny napływ biedoty i spowodowane tem współzawodnictwo obniżyły cenę robocizny do tego stopnia, iż takowa już nie starczy na opędzenie najnieodzowniejszych potrzeb życia. Potrafili ludzie ofiarni w Anglii wprawdzie poniekąd złagodzić niedolę wzorowym ustrojem dobroczynności i opieki nad biednymi, lecz to wszystko przyniesie w najlepszym razie tylko chwilową ulgę, która nadto sprawia zawsze nadmierne uciążliwości. Najważniejszym powodem ubóstwa jest oczywiście zawsze i wszędzie przeludnienie. W takim razie powinno państwo wszelkimi sposobami utrudniać nierozważne zawieranie ślubów małżeńskich, ułatwiać kolonizacyą w mniej zaludnionych stronach kraju i nawet urządzać ostatecznie choćby wielkim nakładem lepszy ład i skład co do wychodźtwa.

* **W jaki sposób sypiają ludzie?** Europejczyk i Amerykanin spać nie może dobrze, jeżeli nie ma pod głową miękkiej poduszki. Japończyk rozciąga się na słomiance i kładzie sobie pod głowę czworograniaty kawał drzewa, bez którego źle mu się śpi. Chińczyk ma nizkie łóżko, lecz i tu śpi tylko na słomiankach plecionych. U nas każdy się wyciąga jak długi przy spaniu, w krajach

Doświadczenie fizyczne.



Zabawka, którą nam powyższa podaje rycina, polega na sile fizycznej znanej w nauce pod nazwą »bezwładności ciał.« Zależy tu przedewszystkiem na tem, aby trzymając w jednem ręku trąbkę ze sztywnego papieru i dwie kostki od gry, jak to na obrazku widzimy, podrzucić je w górę, jednę po drugiej (każdą z osobna) i następnie obiedwie z kolei do środka trąbki pochwycić. Z pierwszą kostką rzecz będzie dość łatwa, lecz drugą rzadko kiedy uda nam się tak uchwycić, aby ta, która się już wewnątrz trąbki znajduje, przez silne wstrząśnienie ręki nie wyskoczyła znowu na zewnątrz; i tak zawsze będziemy mieli tylko jednę kostkę w trąbce. Lecz jest na to sposób i proszę go tylko zastósować, a przekonacie się, jak znakomicie jest obmyślony. Gdy już pierwszą kostkę, podrzuconą do góry, pochwycimy do trąbki, nie podrzuca się drugiej, lecz szybko opuszcza ręką wraz z trąbką na dół, wypuszczając równocześnie z palcy kostkę trzymaną tak, aby ta, która jest w trąbce, niżej się znajdowała od tej, którąśmy co dopiero z palcy wypuścili. Kostki spadają wolniej, niż zdolni jesteśmy poruszyć ręką; z tego powodu trąbka na jednę chwilę niżej się znajduje od kostki, którą teraz łatwo pochwycić można.

południowych ludzie śpiąc, zwijają się w krąg jak małpy i dobrze im się śpi. Anglik przykrywa się wełnianemi derami, Niemiec ogromnemi pierzynami, Polak kołdrą watowaną. Anglik sypia zimą przy otwartych oknach, co jest bardzo zdrowo. Moskal sypia najchętniej na piecu ogromnym. Skoro wstanie rano, wskakuje w zimną wodę, choć czasem lód przerąbać musi. Lapończyk wchodzi na spoczynek we wielki miech skórzanny, głową naprzód, Indyjczyk też wchodzi na noc w miech, lecz z lekkiej materyi, aby się uchronić od much i komarów nieznośnych.

* **Falansterium.** Wiadomo, że Fourier założył w roku 1832 w lesie pod Rambouillet socyalistyczną osadę, zbudowaną na zasadach komunistycznych. Osada ta wkrótce, jak wszystkie instytucye podobne, upadła, ale zostało tam kilka familii robotniczych, których potomkowie żyją w chatach, ulepionych na skraju lasu wielkiego. Wiodą oni życie socyalistyczne według Fourierowskich teoryj, a wszyscy prawie do szczętu zdziczeli. Chaty ich są obrazem najstraszniejszej nędzy, bo mężczyzni tak sobie wzięli do serca regułę apostoła swojego, by tylko spełniać przyjemną pracę, że sami żyją bezczynnie, a troskę o byt zostawiają swym wspólnym małżonkom. W czterech ścianach prócz kilku ław połamanych, kominka i skrzyń z płatami, które zastępują łóżka, nic się nie znajduje. Ludzi obcych komuniści unikali, a dopiero w ostatnich czasach bieda straszna zrobiła ich przystępniejszymi. Dzieci wychowane dziko, robią wrażenie małp, ale rząd obecnie poczynił już kroki, by gospodarstwu temu koniec położyć. Szkoda, że socyaliści nie mogą się przypatrzyć skutkom Fourierowskich dążeń.

* **Muzyka i zwierzęta.** W pewnej gazecie angielskiej spotykamy ciekawe szczegóły, dotyczące przeprowadzonych świeżo w zoologicznym ogrodzie londyńskim doświadczeń w celu określenia wpływu muzyki na zwierzęta.

Dnia pewnego o świcie, w czasie, w którym niedźwiedzie spały jeszcze w najlepsze, na pomoście, biegnącym po nad klatką misiów, ustawiono grajka ze skrzypcami. Muzykant poruszył smyczkiem i wnet najmłodszy z niedźwiedzi, przebudziwszy się, podążył w kierunku dobiegającej go muzyki i o ile możności zbliżył się do grającego. Skrzypek stał na wyniesieniu, około 10-ciu stóp ponad klatką, miś zatem, aby go lepiej słyszeć, podniósł się na tylnych łapach, czas jakiś z uwagą każdego śledząc tonu, poczem jął kręcić się po klatce tam i z powrotem, mruczenie wydając niewyraźne.

Po chwili, gdy muzykant silniej pocisnął smyczkiem, niedźwiedź znowu podniósł się na tylne łapy, przednie zaś wraz z paszczą wysunął po za kratę klatki. Skrzypek zeszedł teraz z pomostu, stanął przed niedźwiedziem i grał dalej, co widocznie przyjemność sprawiało misiowi, bo przysiadł tuż przy kracie i wyciągał łapy, jak gdyby pragnął pochwycić instrument. Dopiero gdy muzykant grać przestał, niedźwiedź cofnął się w głąb klatki i zanurzył się w basenie z wodą. Dwa inne, stare niedźwiedzie, zbudziły się również po pierwszem pociągnięciu smyczkiem i z komicznemi wielce minami jęły się w muzykę wsłuchiwać, stojąc również na tylnych łapach i przesuwając przednie wraz z nosami przez kraty. Wobec fałszywie z umysłu danego akordu cofnęły się żywo w głąb klatki, jakby przestraszone, gdy zaś potem skrzypek zagrał marsza, rozpoczęły spacer tam i z powrotem, ściśle trzymając się taktu.

Na lwy muzyka oddziałała zupełnie podobnie. Wszystkie, o ile możności, zbliżały się do grającego; jeden z nich porusza do taktu czarną kiścią włosów, porastających koniec ogona; przerwała mu zachwyty lwica, zepchnąwszy go z miejsca, w którem przysiadł, i sama je zajęła.

Wręcz przeciwnie zachowywały się w obec skrzypców wilki; jak wiadomo, muzyka je przestrasza. Wilk zwyczajny podnosił grzbiet i ohydnie zgrzytał zębami. Wilk indyjski zdawał się odchodzić od siebie z przerażenia, drżał cały, najeżył się i, czołgając się, wsunął w róg klatki.

Szakale i lisy mniej dawały oznak przestrachu. Owce, czego po nich, jako przeciwieństwie wilka, spodziewać się należało, porzucały dla muzyki paszę. Jednemu ze słoni afrykańskich, zdaje się, talent grajka nie przypadł do smaku, a może nie podobał mu się wybór sztuki, kłapiąc bowiem uszami, podnosząc i opuszczając trąbę, jął ryczeć i świstać, niby lokomotywa, przyczem nieustannie bił głową w kraty. W zachowaniu się jego widoczne były ślady przestrachu i nieukontentowania.

Najsilniejsze wszakże wrażenie wywołała muzyka wśród małp. Większe ich rodzaje lękały się raczej, niż znajdowały w niej upodobanie. Jeden z młodych orangutanów po pierwszym zaraz tonie odwrócił się od grającego i schronił pod szczyt klatki. Inny słuchał muzyki poważnie, z założonemi łapami, przy silniejszych akordach wydając dźwięki jakieś nieokreślone. Wszystkie zaś, jak to zresztą i u innych zwierząt zauważono, drżały ze strachu wobec fałszywych tonów.

* **Jabłka.** Pożytek, jaki pokarmy owocowe organizmowi przynoszą, powszechnie jest znany. Pominąwszy bowiem, że pożywność jabłek wyższą jest niż kartofli, mają one szacowną część składową, kwas jabłkowy, bardzo dla organizmu pożyteczny. Kto regularnie jabłka jada, nie tylko wolny jest od chorób żołądka, ale nawet mniej skłonnym do chorób gardła się staje. Znaczna stosunkowo w jabłku ilość fosforu ma także godny zaznaczenia wpływ na organizm; chodzi tu mianowicie o odświeżanie mózgu, pracą umysłową zmęczonego. Z tego więc powodu, używanie jabłek polecić należy wszystkim prowadzącym życie czynne i natężone, a jednakże siedzące, gdyż jabłka składem swym zarówno do odżywiania mózgu i nerwów, jak i do pobudzania działalności wątroby i żołądka się przyczy-

niają. Wiadomo zaś, jak często osoby, życie, o jakiem mówiliśmy, prowadzić zmuszone, na powyższe organa zapadają. Że używanie jabłek, w celach hygienicznych, najwłaściwszem jest wieczorem, przed udaniem się na spoczynek, to powszechnie jest wiadomem.

* **Mikroby w winie.** Wina naturalne zawierają w sobie bardzo mało drobnoustrojów oprócz grzybków drożdżowych, a nawet z biegiem czasu wina stare, po latach piętnastu, nie mają już w sobie ani jednej komórki żyjącej. Natomiast wina sztuczne zawierają niekiedy mnóstwo bakteryi, a nawet zarodki pleśni. W sześciennym centymetrze wina rodzenkowego uczeni znajdowali do 125.000 mikrooganizmów, z których zaledwie dziesiąta część przypada na grzybki drożdżowe, gdy tymczasem pozostałe były to laseczniki itp. Tej niepożądanej obfitości główną przyczyną jest ludzkie niechlujstwo przy sporządzaniu wina. Być może, iż właśnie owe organizmy, nie zaś skład chemiczny trunku, wywołują nieraz zaburzenia żołądka.

* **O wymarłym mieście** w Kalifornii pisze jeden z dawnych jego mieszkańców w pewnym dzienniku amerykańskim: Zdala od świstu lokomotywy, niekiedy tylko zwiedzane przez poszukiwacza złota, położone jest śród krzaków szałwiowych, niezwykle ciche miasto. Niegdyś, to jest przed laty 25, przeszło 35.000 ludzi prowadziło tam różne interesa, nazwa tego miasta — White Pine. Dzisiaj zaś ludzie znikli, domy ich się zapadły, a w tych, które zdołały się oprzeć niszczącemu wpływowi czasu, skaczą wewiórki. Najdziwaczniejszym wszakże jest wielki cmentarz. Drewniane pomniki, o ile wogóle były postawione, spróchniały dawno, lecz zwłoki pod nimi zachowały się o wiele lepiej, gdyż w większej części — skamieniały. Grunt tamtejszy mianowicie składa się przeważnie z wapienia, który, gdy woda przezeń przecieka, przybiera właściwości wapna i wywołuje skamienienie. Jest ono niekiedy tak doskonałe, że nawet rysy nieboszczyków pozostały niezmienione.

ŻARTY.

Ostrożność przedewszystkiem.

Na dwóch przechodniów wypada z domu pies, ujadając co sił starczy za nimi. Jeden z nich wciąż się cofa i ogląda po za siebie, drugi spokojnie go pyta:

— Czemu się boisz psa? Toć wiesz, że psy, które szczekają, nie gryzą!

— Prawda — drugi mu na to — ja wiem, ale pytanie, czy pies też o tem wie.

W szkole.

Nauczyciel: Od 2000 marek mam 80 marek rocznego procentu. Mosze Faigeles, jaki to procent?

Mosze Faigeles: Taki nizki, że się nie opłaci wcale wypożyczać kapitału.

Przebiegły żyd.

W małem miasteczku porozlepiano pewnego dnia afisze następnej treści:

„W czwartek dnia 15 tegi miesząca zamiszlam ja, Icek Szlome, w moje wlasne osobe wchodzić we flaszkę od piwa o godzinie 8 w restauracye pod mokry szledź. Kto chce przyjść, zaplaci 25 krajcar.“

Skoro w oznaczony dzień zapełniła lokal liczna publiczność, składająca się przeważnie z żydów, ukazuje się wreszcie Icek Szlome, schowawszy naturalnie poprzednio zebrane ze wstępnego pieniądze, i wskazując na flaszkę w ręku, tak się odzywa do publiczności:

— Moje szanowne państwo! Ja miszlę i chcę wchodzić we flaszkę, — ale ja nie mogę.

Nie czekając, co będzie dalej, uciekł bocznemi drzwiami.

Nierówna przyczyna.

— Panie Silberstein, dla czego nie chcesz mi pan pożyczyć pieniędzy?

— Bo pana znam z a m a ł o.

— A czemu pan wczoraj nie pożyczyłeś memu wujowi?

— Bo tego znam z a d o b r z e.

Tak się to robi.

— Sąsiedzie, jak możesz sprzedawać towary po cenach zakupna; w ten sposób przecież nic nie zarobisz!

— A no mogę, bo je kupuję jeszcze taniej!

Przy okazyi.

Pani otwierając drzwi, spostrzega znanego jej żebraka

— To za wiele, to nie uchodzi — rzecze do niego. — Dziś już po raz trzeci w tym tygodniu przychodzicie!

— Proszę pani, to jeno tak przy okazyi. Ja mieszkam tuż obok domu pani.

Lekarz: Gardło tego dziecka musi być trzy razy na dzień pędzlowane piekielnym kamieniem. Jak się kamień rozpuszcza, to już panu powiedziałem; a co się tyczy pędzlowania, to panu zaraz zupełnie dokładnie wyjaśnię, jak to się robi...

Ojciec: O przepraszam pana doktora, tego wcale nie potrzeba, przecież ja jestem malarzem.

Treść zeszytu 17 „Światła“:

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.